

# okiem i uchem RECENZENTA

## Rehabilitacja Operetki Śląskiej

„Tangolita“ („Bal w Savoy'u“) operetka w 3 aktach Paula Abrahama. Libretto A. Grünwald i Fritz Löbner-Beda przełożyli Leopold Bek i Michał Śląski. Reżyseria Irmy Czaykowskiej, scenografia Jerzego Kłosowskiego, choreografia Stanisława Miszczyka, kierownictwo muzyczne Zbigniewa Lipczarskiego. Występy gościnne Państwowego Operetki Śląskiej w Gliwicach.

Po niesławnej pamięci „No, no, Nanette“, której do dziś nie mogę strawić za pochwałę lajdactwa, wulgarności i banału, „Tangolita“ jest perłą, ucieleśnieniem dobrego smaku, pomysłowości dramaturgicznej i muzycznej, arcydziełem humoru. W istocie jest to stereotypowa operetka z obowiązkowym dramatem z wysokich sfer, z obowiązkową miłością, pseudozdradą i szczęśliwym zakończeniem. Prawda, że na tle piramidalnych bzdur, których niemało wśród i brett, jest zgrabnie skomponowana, akcja biegnie żywo i jest gęsto przetykana dowcipem, postaci zarysowane są w miarę wyraziście. Muzyka — cóż, ona starzeje się tym później, im więcej jest warta. O „Tangolicie“ z uznaniem mogą mówić raczej ci, którym ona przypomina młodość. Dziś podskakujące foxtroty lat trzydziestych brzmią trochę archaicznie. Rock to w żadnym razie nie jest, ale słuchać się da, zwłaszcza że orkiestra, choć szczupła, brzmi czysto. Gdyby tylko dało się patrzeć bez zastrzeżeń.

Operetka tego rodzaju co „Tangolita“ wtedy może nie budzić sprzeciwu, jeśli będzie ogólną zabawą, której ton narzuca publiczności aktorzy ze sceny. W przedstawieniu Operetki Śląskiej dominował charakter farsy z wyraźnymi reminiscencjami dramatu. To połączenie stylu serio i buffo nie wpływa korzystnie na widza, który, młotany sprzecznymi uczucia-

mi, co chwila waha się: wierzyć — nie wierzyć? W rezultacie wierzy się bez zastrzeżeń chyba tylko jednej doskonałej parze: Daisy (bar'zo utalentowana Leokadia Zienko) i Mustafie (uroczy i zabawny Aleksander Sawin). Oboje reprezentują najlepsze tradycje naszej operetki, obdarzeni przez naturę głosem, miłą aparycją i owym nieokreślonym bliżej nerwem, operetkowym genre aktorskim, który wyraża się w geście, mimice, tańcu, refleksie, ba, nawet sposobie noszenia się — a wszystko to na tle i w ścisłym związku z muzyką. Myślę że o tej parze jeszcze usłyszymy.

Dla wykonawców czołowych par, niestety, mało mam pochwał. Maria Artykiewicz (Madelaine) niezdecydowanie zarysowała swą bohaterkę, żonglując głosem, by się utrzymać na średnicy. Michał Śląski, jako wiarołomny markiz — bardzo nie przekonywający. Bez energii, bez wdzięku, nie umie flirtować — gdzie ta Madelaine miała oczy i co się stało Tangolicie (Ada Kalliska), że się tak w nim durzyła? Zresztą ta argentyńska tancerka, bardzo namiętna i zachłanna, trochę przypominała siebie z poprzedniej roli w „Nanette“, a więc apage!... Dalej godny uwagi jest Franciszek Hollikowski jako rasowy kamerdyner, Archibald Stefan Kosmowski (a może Tadeusz Mołski — bo nie zaznaczone) jako aplikant adwokacki, trochę jednak schematycznie safandulasty. Dekoracje i stroje tym razem znacznie gustowniejsze i efektowniejsze, choć współczesne, co wyraźnie kłóci się z muzyką sprzed ćwierci wieku.

Operetka Śląska dowiodła, że stała ją na przedstawienie, które bawi, daje wypoczynek i rozrywkę. Więcej nie wymagajmy — może tylko tego, by ze sceny nie puszczać błędów językowych („Czy nie zechciałaby pani zdjąć maseczkę?“) Szkoda jednak, że w repertuarze dużo jest Abrahamów i Youmansów, mało zaś Straussów, Leharów i Offenbachów. Z żalem również wyczytałem w programie, że „Słomkowy kapeluszy“ w tuwimowskim opracowaniu wystawia druga scena, która do Warszawy nie przyjechała. (ibis)